Rozmaitości

DNIA 10. STYCZNIA — Ner 2. — 1835 ROKU.

PAŁAC INKWIZYCYI W WALLADOLID.

(POWIEŚĆ.)

(Ciąg dalszy.)

»O szczęśliwy Armandzie!« zawołał jeden z młodych oficerów. »Kiedy się od nas, jak od zapowietrzonych, wszystkie młode piękności odwracają, i zaledwie tylko czasem jakie pięćdziesiąt-letnie kobiéce stworzenie: *»buenas tardes!«* przez spruchniałe zęby przecedzi; ty sobie, panie poruczniku, jakby ów mały sułtan, między przyjazną ciotunią i jéj kochania godną siostrzenicą siedzisz i rajskie chwile przepędzasz.«

»Co się tycze kochania godnéj siostrzenicy, ani słowa!« odrzekł, śmiejąc się Armand; »ale przyjaźność pięknéj ciotuni mogłaby, bez uwłeczenia jéj hiszpańskiéj powadze, być większą cokolwiek. Kiedym już przyszedł do zdrowia i dowiedział się o nazwisku gospodyni, poszedłem złożyć jéj moję podziękę.«

»Zapewnieś był uprzejmie przyjęty!« zawołał adjutant.

»Przeciwnie!« odpowiedział Armand, »bo gdym jéj moję wdzięczność oświadczył, i przywiódł na pamięć te dni piękne, któreśmy razem przed kilką miesięcy w Bagnéres wesoło przepędzili; odrzekła mi bardzo wyraźnie: że boleść ze znieważenia, którego jéj ojczyzna przez napad nieprzyjacielskiéj h o r d y doznała, zatarły w niéj wszelkie przyjaźne przypomnienia, i że ta okoliczność powinnaby ją w moich oczach usprawiedliwić, jeżliby może to przyjęcie, którego w jéj domu doznaję, nie odpowiedziało zupełnie temu, którego się w nim mógłem spodziéwać.«

»Nié ma co mówić, pani hrabina znalazła się prawdziwie po hiszpańsku!« zawołał adjutant. »Aleś mówił o kobiécym dozorze i pielęgnowaniu, poruczniku? miałożbyto na samę ściągać się siostrzenicę?... No, jakże?«

»Że tkliwa Teresa,« odpowiedział Sacy, cokolwiek się spłoniwszy, »więcéj pamiętną była na dawniéjsze przyjaźne z dni pięknych stosunki, aniżeli jéj nieczuła ciotka, zaprzeczać nie mogę; jednakże byłobyto z krzywdą hrabiny utrzymywać, że mi w jéj domu na jakiéj zbywało wygodzie; i owszem zdawało się, że przez samę dumę miała o tém staranie, abym ku memu wyzdrowieniu miał wszystkiego aż do zbytku; ale, ilekroć chciałem wdzięczność moję za jéj dobroć oświadczyć, tak obojętną zawsze przybiérała minę, jak gdyby wcale o niczém nie wiedziała, lub jakby to wszystko działo się bez jéj rozkazu.«

»Czy bawiłeś często w tych pań towarzystwie?« zapytał adjutant.

»Prawie zawsze!« odpowiedział Armand. »Hrabina pomimo swoję dumę, nie zdawała się z początku niemiłém na to patrzeć okiem; bo, jeżeli mam prawdę wyznać, pochlebiała sobie nadzieją, że się jéj powiedzie: mnie na hiszpańską wiarę namówić! chciała — cha, cha, cha! abym pod hiszpańskie przeszedł chorągwie.«

»Co!?« wrzasnął Vautré; »a czy ta kobiéta oszalała! Armand! przecież jéj dałeś, jak się spodziéwam, dobre: *bien vous fasse* w odpowiedź. *Sacre Dieu!*«

»Odpowiedziałem, jak na Francuza przystało!« rzekł Armand z lekkim uśmiéchem, »Wszakże to kobiéta! a wiész kapitanie, cośmy płci pięknéj winni!«

»Sacre! tego ja nie wiém i nie chcę wiedzieć!« rzekł Vautré zapérzony. »Słuchaj Armand! bądź ostrożnym! Nié masz dnia, aby

się jakie nie zdarzyło zabójstwo; oto właśnie dzisiaj znowu trzech naszych żołniérzy nożami pokłutych znaleziono na ulicy. Każda rozgniéwana kobiéta jest niebezpieczna; a Hiszpanka, to szatan wcielony! Miéj się na ostrożności!«

»Jabym się miał lękać kobiét? wszakżeby mnie wyśmiano!« rzekł, śmiejąc się Armand. »A potém, przypadek dzisiejszéj nocy może cię kapitanie przekonać, że ja nie tak bardzo nieostrożny jestem, gdy tego potrzeba.«

»Co?... cóż ty przezto chcesz powiedzieć?« zapytał Vautré; »mówże!... byłżeś napadnięty? albo —«

»Uspokój się kapitanie!« przerwał młodzieniec. »To była tylko zabawka snu na jawie!«

»Opowiédz nam ją!« zawołał adjutant Dutailles. »Miałażby hrabina, albo jéj piękna pokrewna przyjść do ciebie ze sztyletem?... powiédzże nam!«

»Tak, tak! — opowiédz nam wćpan!« zawołali młodzi oficérowie.

»Nié ma w tém nic osobliwego!« odrzekł Sacy. »Ale ponieważ koniecznie tego chcecie, trudno być niegrzecznym. Jak wam już powiedziałem, mieszkam w pawilonie pałacu inkwizycyi, który jest prawie całkiem niezamieszkały. Kilku tylko już podeszłego wieku nieznajomych w sukniach świeckich zdarzyło mi się tam widywać. Trzech bywa zawsze zaproszonych do stołu u hrabiny; a jeden z nich, niejaki Anzelmo, w średniéj lat porze i dosyć ukształcony, zdawał się u niéj miéć piérwszeństwo. Gdy na prośby moje wyjednałem sobie pozwolenie jadania u spólnego stołu, miałem sposobność poznać Anzelma, dosyć płynnie mówiącego naszym językiem. Był on dla mnie z początku nad podziw grzeczny, a nawet wtedy, kiedy zacięta hrabina i jednėm słowem do mnie się nie odzywała; przychylność jego ku mnie bynajmniéj się nie zmniéjszała. Wczorajszego wieczora wszedł Anzelmo do mojego pokoju; rozmawialiśmy długo o teraźniéjszych okolicznościach; aż nakoniec, po długich manowcach — cóż wy na to powiécie — zacny Anzelmo daje mi wyraźnie do zrozumienia, że pułk gwardyi byłby moją nagrodą, gdybym przeszedł na hiszpańską stronę.«

»*Mort de ma vie!*« wrzasnął Vautré i uderzywszy nogą o ziemię, pokręcił niemiłosierdnie wąsa. »I on się ważył!? *Sacre!* przecież się spodziéwam, że sam sobie drzwi nie otworzył? Cóżeś mu odpowiedział?«

»Śmiałem się!« rzekł młodzieniec. »Ale gdy mi raz jeszcze to samo powtórzył, i za skutek zaręczył; dopiérom wtedy drzwi mu otworzył i w dobitkę dodał: że gdyby téj myśli nie zaniechał, i do mnie raz jeszcze z tém ozwać się odważył; byłbym zniewolony, jenerałowi Kellermann, jako gubernatorowi tego miasta, donieść o wszystkiém.«

»Fe! tyś dziewczyną, nie oficérem, Armand!« zawołał Vautré rozgniewany i cisnął kieliszkiem o ziemię. »Powinieneś był—« tu podniósł nogę i wskazał pantomimą sposób odprawy.

»On był moim gościem, chciéj na to zważać, kapitanie!« odpowiedział Sacy. »Lecz słuchaj tylko daléj. — Było już blizko północy, a jam jeszcze po moim przechadzał się pokoju; księżyc, jak zdrajca, wkradał się i znowu niknął; nie mogąc zasnąć, rzuciłem się nierozebrany na łóżko; przy mnie, na krześle, leżał mój polowy potrzebnik, który zawsze przy sobie noszę.« Tu Armand dobył z czerwonego safijanu duży pugilares: »W nim się zawiéra, jak zwyczajnie, narzędzie do wzniecania ognia i t. d., ale krom tego, i ta krócica. Jak mała jest na pozór, przecież diable ostro bije! Właśnie wtenczas, gdy pugilares w ręku trzymam i myślami sam nie wiedząc o czém, nawiasowo gonię; cóś mi się ochapia, jak gdybym w pobocznym pokoju słyszał szeptanie; z razu nie chciałem temu dać wiary, bo mury były grube, i — pomyślałem sobie — do mego pokoju żadnych ubocznych drzwi nié ma; jednakże szeptanie nie ustawało. Myśląc, że rozmawiający są na korytarzu, zawołałem: Kto idzie? — szeptanie ucichło; ale w dobrą godzinę, słyszę wyraźnie jakiś skrzyp za starą, wielką szafą, która w moim stała pokoju; słyszę, jak gdyby ktoś cięźkie drzwi otwiérał. Porwałem się żywo z łóżka i zawoławszy: Kto idzie? — hallo!... wypaliłem w sam środek szafy. Wszystko ucichło; tylko jęk jakiś przedarł się ze szafy, i mógłem już wyraźnie dosłyszeć, że ktoś ciężkim powlókł się krokiem —«

»*Mort de ma vie!*« zawołał kapitan. »Przecieżeś miał tyle rozumu —«

»Poszukać, czy nie znajdę ubitéj źwierzyny?« odpowiedział Armand, »a jużci miałem tyle

rozumu, kapitanie. Znalazłem z mojém wielkiém podziwieniem otwartą szafę, któréj tylna ściana była drzwiami, wiodącémi do pobocznego pokoju. Wszedłem — ale nie zastałem nikogo!«

»I nie byłoż żadnego śladu?« zapytał ciekawie jeden z oficérów.

»Najmniejszego!« odpowiedział Sacy. »A co mnie jeszcze bardziéj zdziwiło, żem nie znalazł kuli, ani w ścianie szafy, ani w pokoju.«

»Łatwo się domyśléć, czyjato sprawka,« zawołał Vautré, o stół pięścią uderzywszy; »czy mnie rozumiész, Armand? o! gdzie się diabli z kobiétą zawezmą, tam — zawsze coś podobnego. Ale patrzcie! któż tam gościńcem ku nam na wyścig goni?... tamże u licha! wszakto Cesarz. —« Oficérowie zerwali się piorunem i stanęli w żołniérskiéj postawie.—

Na pysznym arabskim rumaku, otoczony świetnym marszałków i jenerałów pocztem, śród rozdętego kurzu, jakby Jowisz w obłoku, sadził w sążnisty wyskok piérwszy bohatér Europy. Jego sławny szary surdut krył mu zielony mundur strzelców; a mały kapelusik, jego włos kruczy, mocno przygłaskany. Mała, niepokaźna postać, a przecież na nią tylko, na nią samę wszystkich zwracały się oczy! Pyszno toczył przy nim bitny i urodziwy Kellermann (syn) andaluzyjskim rumakiem; dumnie i z wiatrem na wyścigi puszczał koniowi wodze z walecznych najwaleczniéjszy, nieustraszony Ney; ale nikt ich nie widział. Nikt nie postrzegał z surową miną i długim harcopem, mężnego dowódzcę konnéj gwardyi, książęcia Istryi; nikt walecznego, z bezwładném ramieniem i groźnym wzrokiem, sławnego jenerała Loison; każdy tylko w tego wlepiał swoje oczy, który na ich czele, jak bóg zwycięztwa, pomykał lotem błyskawicy.

Teraz był Napoleon już blizko naszych znajomych; jeden rzut oka, i — któż opisze ich zadziwienie — cesarz zerwał i osadził w miejscu konia. — Zdawał się dzisiaj być szczególnie dobrego humoru; wzrok jego, czasem tak straszny, że i piérwszym nawet jego towarzyszom bitew, w żyłach krew ścinał; dziś zdawał się patrzyć samą dobrocią.

»Ah! tyśto mój stary Vautré!« zawołał głosem cokolwiek ochrypłym i śród parskania spienionego rumaka ledwie dosłyszałym: »*Eh bien*, *Mr. le Curé!* jakże mi się wćpan miéwasz? — No, jakże starcze? podoba ci się tu w Hiszpanii?«

»*Ma foi, Sire!*« odpowiedział Vautré, pociągnąwszy ręką po wąsie, a chcąc się miło uśmiéchnąć, twarz szkaradnie wykrzywił. »Tak nam tutaj, jak w Egipcie! wiele kul, wiele honoru; ale diabelnie mało, co się tyczé — posilenia ciała.«

»Nie podobasz sobie?« uśmiéchnąwszy się, rzekł cesarz. »Bądź tylko cokolwiek cierpliwym. Tam oto Guadarramy. Nie wysokie. Moje orły przelecą je. W czternastu dniach staniemy pod Madrytem. Wywieszą białą chorągiew. Będziecie mieli wszystkiego podostatkiem. Jak się wćpan nazywasz?« zapytał cesarz, spojrzawszy na Armanda; jego oko okazywało widocznie jakieś zadowolenie.

»Nazywam się Sacy!« odpowiedział tenże z uszanowaniem.

»Brat tego Sacy z ósmego pułku dragonów? — ale nie; ja się mylę! wćpan jesteś synem poległego w Egipcie. *Bravo!* pięknie! Pod Durando; nie prawdaż? — jestem kontent z wćpana! *Adieu!*«

Cesarz, szepnąwszy coś jednemu z oficérów przybocznych do ucha, spiął konia i puścił mu lejce; a za nim ruszył z kopyta cały orszak, zasypawszy naszych znajomych bałwanem kurzu.

»Armandzie! krzyż dostaniesz; szyję w zakład stawię, dostaniesz go;« rzekł uradowany kapitan, zaciérając dłonie. »Ten mały! to mię cieszy! więcéj on wart, aniżeli cały wór pięknych słówek, któremi cię obsypał marszałek. Ale dziatki! komu w drogę, temu czas; trzeba nam spieszyć, już *apellu* pora. Hola! ty, ogorzały wisusie, cośmy winni tobie?«

Zapłaciwszy, pożegnał się z towarzyszami. Adjutant z dwoma młodszymi oficérami odszedł ku stronie *Plaza major*; kapitan ze swoim młodym przyjacielem puścił się drogą wzdłuż *Espelon viejo*.«

»Słuchaj Armand!« mówił idąc Vautré, wziąwszy go pod ramię. »To zdarzenie dzisiejszéj nocy, wcale mi się nie podoba. Tak żywo i wyrazisto nie sni się nikomu. W tém się kryje mordercze łotrostwo! Czyś więcéj nic nie spostrzegł?«

»Nic wcale!« odpowiedział młodzieniec; »mojemu tylko służalcowi zdawało się, iż wyśledził kilka kropel krwie na wschodach;

poszedłem się przekonać; alem nic nie znalazł. To jedno tylko mogłoby mię ździwić, że Anzelmo nie był dziś u stołu!«

»A widzisz!« zawołał z uwagą kapitan.

»Po naszéj sprzeczce z wczorajszego wieczora łatwo sobie to wyjaśnić!« napomknął młodzieniec.

»Niech im diabli wierzą!« odpowiedział, wstrząsając głową, kapitan. »To są niegodziwe łotry, godne szubienicy. Wiész co, mój kochany Armandzie! sprowadź się do mnie; będziemy mieli obadwaj dosyć miejsca.«

»Uchowaj Boże!« rzekł Armand. «Chciéj zważyć, kapitanie, że taka przezorność nie bardzoby się zgadzała z honorem —«

»Ja tu nic nie widzę, coby przeciw honorowi było; można być walecznym, a przecież nie miéć ochoty, dać się jak cielę zarznąć;« rzekł mu Vautré. »Sprowadź się do mnie, mówię ci.«

»Toby złe wrażenie sprawiło w hrabinie!« odpowiedział Armand; »a potém sambym przed sobą wstydzić się musiał, gdybym unikał niebezpieczeństwa, które może być urojone.«

»Urojone? ha nu... kiedy tak,« rzekł kapitan, »kiedy ty sam nie chcesz, więc ja cię wykwatéruję. Rozkazuję ci, jako twój kapitan. Za godzinę będziesz już na innéj kwatérze.«

»Zaklinam cię, kapitanie!« zawołał Armand przestraszony; »nie czyń tego!«

»A to dla czego?... Tyś mi nie wszystko jeszcze powiedział, Armandzie!« rzekł Vautré, patrząc Armandowi ostro w oczy. »Mnie się zdaje, żem na to zasłużył, abyś przede mną żadnych nié miał tajemnic!«

»I kiedyż je dla ciebie miałem, przyjacielu i ojcze?« rzekł spłoniony młodzieniec, i ująwszy kapitana za rękę, dodał: »dowiédz się tedy, że Teresa de Rocca wiąże mię do tego domu.«

»A, to co innego,« rzekł Vautré, pochwiawszy głową. »Czemużeś mi tego zaraz nie powiedział?... Ale jakież są twoje zamiary? spodziéwam się, że Armand de Sacy, syn Archambaud de Sacy, nie może miéć inne, jak tylko zgodne z honorem jego.« Ostatnie słowa wymówił dobitniéj.

»Bądź sprawiedliwym, przyjacielu!« rzekł Armand z zapałem. »Kocham Teresę de Rocca, kocham niewymownie — i mam powód pochlebiać sobie, żem wzajem kochany. Jestem jéj równy w urodzeniu; okoliczność, którą w Hiszpanii na piérwszym mają względzie. Co się tycze majątku, wiész, mam tyle, że nam do wygodnego życia obojgu wystarczy.«

»Ty chcesz tę dziewczynę poślubić?« rzekł Vautré udobruchany. »*Bon!* nié mam nic przeciw temu; ale czyś pamiętał na to, że cesarz nie lubi umałżonkowanych oficérów, i ku temu diable w przyzwolenie skąpy?«

»Wiém o tém!« rzekł Armand, »ale Teresy ojciec jest hiszpańskim jenerałem, starym, doświadczonym wojownikiem; a to go u Cesarza wiele zaleca. Już przez ten sam wzgląd zezwoli na małżeństwo nasze!«

»*Sacre bleu!* Nié ma co mówić! tyś już wszystko dobrze rozważył, rozporządził!« zawołał śmiejąc się Vautré. »Powiédzże mi, jak sobie daléj postąpisz?«

»Jutro napiszę list do Teresy i do hrabiny;« odpowiedział młodzieniec.

»*Bon!*« zawołał kapitan. »Ale przyrzecz mi, że gdy od hrabiny niepomyślną odpowiedź otrzymasz — bo od panny Teresy de Rocca, jak sądzę, nié masz się tego przypadku obawiać — natychmiast do mnie się sprowadzisz.«

»Daję moje słowo!« rzekł młodzieniec.

»*Bon!* A dziś,« mówił żartując Vautré; »każesz służącemu spać w twoim pokoju; aby cię twoja przyszła hiszpańska ciotunia nie odwiédziła ze sztyletem w ręku; albo swoim zacnym pomocnikom w łóżku udusić nie kazała!«

»Tego się po jéj grzeczności nie spodziéwam,« odpowiedział, śmiejąc się, Armand; »przecieżby mi przed tą trajedyją przynajmniéj 24 godzin do namysłu i pokuty pozwoliła.«

W takiéj rozmowie przyszli nasi znajomi do swojego pułku, a po ukończonym przeglądzie, uściskawszy się serdecznie, ruszyli obadwaj ku kwatérom.

Armand miał noc spokojną. Zaraz nazajutrz napisał do Teresy i do hrabiny. W téjże saméj prawie chwili otrzymał od kapitana ważną wiadomość. Byłto rozkaz dzienny, zawiérający wojsku ogłoszenie, że cesarz porucznika Sacy, który się przy Durango chwalebnie odznaczył, a pod Walladolid był ranionym, krzyżem legii honorowéj ozdobić raczył. Tym zaszczytem uradowany Armand czekał na spełnienie i drugiéj połowy szczęścia swego. Służba zabrała mu całe przedpołudnie; wróciwszy do kwatéry, zastał już hrabiny odpowiédź, w któréj mu wyraziła: »że ważność

przedmiotu wymaga poprzednio rozmowy i porozumienia się obopólnego, i że w tym względzie jeszcze przed zachodem słońca każe go prosić do siebie.« Tak spieszna odpowiedź zdziwiła go nie mało; przechadzał się niespokojnie, wzniecał w sobie i gasił nadzieję; a ilekroć spojrzał na drzwi, które wczorajszéj nocy kulą przeszył, nie mógł sobie zdać sprawy, co go nie pokoiło. Nakoniec zbliżył się wieczór; a stary sługa hrabiny wszedł do pokoju, i po kilku nizkich ukłonach oświadczył, że *sennor official* jest oczekiwany. Gdy go Armand zapytał: »Czy i panna Teresa jest przy hrabinie?« — »Już od południa czuje się być słabą i w swoim zostaje pokoju.« otrzymał w odpowiedź.

Armand, zasmucony tą wiadomością, wyszedł za przysłanym sługą; a gdy się chciał udać zwyczajną drogą do pomieszkania hrabiny, wstrzymał go tenże przestrogą, że hrabina nie w tych go oczekuje pokojach. »Dla czegożto?« zapytał Armand. »Aby się mogła bez przeszkody rozmówić, obrała inny pokój ku temu; »odpowiedział sługa i wiódł go przez różne podwórza i korytarze.

Armand, chociaż już wiele, a nawet dosyć niemiłych przeszedł zakątów, szedł cierpliwie; ale gdy zważył, że się już w innéj części gmachu znajduje, stanął i rzekł do służącego: »Wszak to jest pałac inkwizycyi, dla czegoż mię tu wiedziesz.« — »Tak mi kazała hrabina!« odpowiedział służący.

»Cóż tu hrabina ma do czynienia? alboliż ona zarządza témi gmachami?« zapytał Armand. »Tak jest!« odrzekł służący; »jego eminencyja, jeneralny wikaryjusz, brat hrabiny naszéj, prosił ją o to!«

»A, to rzecz dziwna, pałac inkwizycyi pod zarządem kobiéty?« Służący nic nie odpowiedziawszy, wzruszył ramionami i wiódł go daléj. Armand — bądź, że mu to straszne słowo: inkwizycyja w pamięci utkwiło, bądź że nagabniony głosem jakiegoś przeczucia — chwycił mimowolnie za oręż i dotknął się zarazem miejsca, gdzie zawsze zwykł nosić pugilares; a przekonawszy się, że ma oboje, szedł spokojnie. Nakoniec stanął służący i otworzył duże, mosiądzem obite podwoje; Armand wszedł spokojnie do przestronnego gmachu. »Tu jest oznaczone miejsce; hrabina zaraz służyć będzie!« to rzekłszy, odszedł.

Armand miał dosyć czasu przypatrzyć się komnacie. Jéj ściany wybite były żółtym aksamitem, hebanowémi listwami obwiedzione; w dużych wyzłacanych ramach, wisiały olejne malowidła alegorycznéj treści; strop był ozdobiony wypukłą rzeźbną robotą; posadzka wysadzana różnokolorowém drzewem, w rozmaite rozgałęziona arabeski. Jednakże przed wielką, na grzbietach wyzłacanych sfinxów opartą sofą; zdawał się być czworogran posadzki jaśniejszy, jak gdyby przez czas długi dywanem był pokryty. Przez duże, kolczastémi kratami obwarowane, różnobarwne okna, przedziérały się promienie zachodzącego słońca. Jakaś niewypowiedziana okropność zdawała się pomimo tych wyszukanych ozdób zamieszkiwać tę salę. Armand, przeszedłszy się kilkakrotnie, a chcąc się pozbyć niemiłego wrażenia, którego nie pojmował; zaczął się przypatrywać malowidłom; lecz którekolwiek wziął pod rozwagę, każdego alegoryja miała w dnie swojém myśl okropną. Tu widział np: od krwiożerczego orła uniesione dziécię; tam przez zgłodniałe wilki rozdarte jagnię i t. p. Gdy się od tych niemiłych zwrócił przedmiotów, i spojrzał ku drzwiom — weszła hrabina z otwartym listem w ręku. Postać kolosalna, w porze lat chylących się ku jesieni; na jéj twarzy kwitło jeszcze znamię dawnéj piękności. Jéj spojrzenie było przyjemniéjsze, aniżeli zwykle; a nawet uśmiéch zdawał się błąkać po jéj ustach. Armand pospieszył ku niéj.

»Usiądź wćpan przy mnie, panie de Sacy!« rzekła łagodnym głosem i zajęła miejsce na sofie. »Nie, nie! nie tutaj!« dodała z uśmiéchem, gdy Sacy chciał usiąść przy jéj boku na otomanie; my jesteśmy dwie umawiające się strony, nam oko w oko patrzyć sobie należy.«

Armand zajął miejsce z uszanowaniem na taborecie, na przeciw hrabiny, pośród już wspomnionego czworogranu.

»Panie de Sacy!« po długiém milczeniu wszczęła hrabina. »Gdyby czas, w którym żyjemy był w zwyczajnéj kolei, nie miałabym nic do zarzucenia oświadczeniu, któreś w tym liście wyraził; nawet co więcéj, wyznaję — byłoby dla mnie pożądane. Pochodzisz ze znakomitego domu; historyja wojny i gabinetów głosi zasługi przodków twoich.

Jesteś majętnym, woli swojéj panem i — wćpan widzisz, mówię otwarcie — moja siostrzenica nie jest mu... nieprzychylną. Mogłabym wymienić jéj przymioty godne uczuć wćpana; ale niech mi wolno będzie tylko o tém wspomnieć, że i ona jest latoroślą starożytnego drzewa, które w Hiszpanii dotąd zaszczytnie przykwita; nie jest ubogą i cokolwiek piękną; zatém, jak sądzę, ręki jego godną.«

»O łaskawa hrabino! —«

»Proszę mi nie przerywać... Ja mówiłam, że gdyby te czasy, w których żyjemy, były w zwyczajnéj kolei — ale tak nie jest. Niesłychana zbrodnia spełnioną została. Człowiek chytry, którego piekła wyzionęły, siadł na tronie francuzkim, i zbroczył dłoń swoję zabójstwem narodu. Nie licz mnie do owych dusz małych, które jego wielkim talentom winnéj sprawiedliwości nie oddają. Zaprzeczać im, byłoby to zaprzeczać światła słońcu, albo raczéj, świetności błyskawicy. Gdyby on nie był tém, czém jest; jużby was wszystkich za Pireneje wyrzucono.' Mały człowiek nie ważyłby się téj olbrzymiéj powziąć myśli: ujarzmić Hiszpaniję —! on się na to odważył! ale nie odważył się jako król! ale jak morderca, jak złodziéj, który, nie mogąc dobrze ubezpieczonych drzwi przemocą wyłamać, wkradł się w dom chytrością.«

»Hrabino!« rzekł Armand powstawszy; ale mu wskazała, aby usiadł, i gniewem uniesiona mówiła daléj: »Wkradł się, mówię, jak wąż, osłoniony oliwną gałązką pokoju. W śród tego pokoju kazał w Madrycie swojemu Muratowi mordować Hiszpanów — dał im niedołęgę za króla, a nakoniec — o! to już przeszło wiarę niegodziwości — podżegał Hiszpanów przeciw własnéj walczyć ojczyźnie. Wćpan sam widzisz, że to nie jest wojna zwyczajna, prowadzona żołdakiem; tu walczy Hiszpan przeciw Hiszpanowi, a hańba tej córce ojczyzny, która z nieprzyjacielem piérwéj pokój zawiéra, aniżeli go zawarła ojczyzna.«

»Jeżelim cię dobrze, hrabino! zrozumiał,« rzekł Armand, przerwawszy jéj mowę, »więcby mój związek z Teresą, dopiéro po zawartym pokoju mógł być do skutku przywiedzionym.«

»Wćpan mię wcale nie zrozumiałeś,« odpowiedziała spiesznie hrabina; »dziś, w téj jeszcze chwili ma się roztrzygnąć, azali Teresa kiedy będzie małżonką wćpana! — masz tu jedno tylko wyrzéć słowo; jeden wykonać warunek, a kapłan połączy natychmiast ręce wasze. Ja odpowiadam za wszystko.« —

»A tenże warunek?« zapytał Armand zagadniony.

»Nie tylko otrzymasz rękę Teresy,« rzekła hrabina, »otrzymasz z nią razem i urząd i znaki dostojeństwa.«

»Ja żądam tylko ręki Teresy!... A tenże warunek?!« powtórzył Armand z naleganiem.

»Powiém go wćpanu!...« rzekła hrabina. »Tym warunkiem jest: abyś dziś jeszcze Valladolid opuścił i tajemnémi drogami udał się do Asturyi.»

»Jako!« zawołał Armand. »Jabym miał być zbiegiem i tak się hańbić? Przenigdy!«

»Nikt mu tego za hańbę nie poczyta!« odpowiedziała hrabina. »Skoro się ujrzysz w miejscu bezpieczném, prześlesz do pułku swego prożbę o uwolnienie; a ja daję moje słowo, że będziesz miał wtomiast stopień wyższy w wojsku hiszpańskiém. Oto jest otwarty list Junty, którym upoważnia mię uczynić mu to przełożenie.«

»Przenigdy!« odpowiedział urażony Armand; a po chwili namysłu dodał: »ale, przypuśćmy, gdybym się tak bardzo mógł zapomnieć, cóżbyto twojéj ojczyznie, hrabino — —«

»Za korzyść przyniosło, chciałeś powiedzieć?« rzekła hrabina. »O, bardzo wielką! Także mało cenisz przykład, za którymby wielu poszło?«

»Tém bardziéj nie wolno mi przyjąć przełożenia twego, hrabino!« zawołał młodzieniec; »nigdy się taką zdradą nie splamię!«

»Czyto szczéra i niezmienna odpowiedź?«

»Niezmienna i szczéra!« rzekł Armand; »jednakże sądzę, że i panna Teresa w téj sprawie głos mieć będzie.«

»Żadnego! ona nie wié nawet, że się wćpan o jéj rękę starasz. Oto list, który do niéj pisałeś, jak widzisz nieodpieczętowany. Dzisiejszéj jeszcze nocy odjéżdżam z Teresą i daję mu słowo, że już jéj nigdy nie ujrzysz. W kilku tygodniach poślubi męża, który jéj przeznaczony.«

Armand, boleścią i gniewem przejęty, milczał przez chwilę. Hrabina sądząc, że się namyśla; odezwała się w te słowa: »Panie de Sacy! nie przyjmujesz mego przełożenia, bo masz sobie w zakałę walczyć przeciwko swojéj ojczyznie; lecz bardzo niesłusznie; spojrzyj tylko na jakie chcesz wojsko w Europie, a w każdém ujrzysz rodaków swoich. Czyliż sądzisz, że oni chcą walczyć przeciw Francyi? Nie! oni walczą tylko przeciw temu samowładcy, który ją ujarzmia.«

»Takci to oni mówią!« rzekł Armand, »lecz historyja, kiedyś inaczéj powié; a ja, ku ich czci wierzę, że im już teraz ich sumienie inaczéj powiada. Hrabino! nigdy się moje uczucia dla donny Teresy nie zmienią; ani się pozbawiam nadziei, że ją kiedyś moją małżonką nazywać będę; ale co bądź się stanie, nigdy mojéj chorągwi nie odbiegnę!«

»Namyśl się dobrze, panie de Sacy!« rzekła hrabina dobitnie. »Nie odrzucaj nierozważnie wniosku mego; nie bież sam w zgubę swoję!«

Tu porwał się Armand z krzesła i zawołał mocnym głosem: »Któż jest, coby mi grozić się ośmielił? Kto, coby mię do hańby zmusić

zdołał? — Hrabino! upraszam cię, chciéj skończyć tę niemiłą rozmowę!«

Hrabina pobladła i zagryzła usta; wskazawszy na taboret rzekła: »Bez uniesienia! Usiądź, panie de Sacy!« Gdy się Armand przecież do odchodu zabiérał, dodała z przyciskiem: »Usiądź! bardzo proszę.« Sacy nie mógł odmówić i usiadł. Hrabina, po chwili milczenia, zapytała go: »Więc stale odrzucasz mój wniosek?«

»Odrzucam!« odpowiedział z oburzeniem młodzian.

»Nawet i wtedy, gdyby o najwyższe szczęście twoje — gdyby o Teresę chodziło?«

»Nawet i wtedy!« rzekł Armand. »Hrabino! jestem człowiekiem honoru; nie chciéj zapominać o tém! Już za wiele grzeczności czynię, że takiego przełożenia słucham. Mogłażby mię Teresa kochać, gdyby mną pogardzała?«

»Czy się wćpan żadnych skutków nie lękasz?«

»Jestem żołniérzem, hrabino! słowo bojaźń nie jest mi znane!« to mówiąc dodał dobitnie: »Z otwartym nieprzyjacielem rozprawiam się orężem, ukrytym, lub we śnie mordującym — pogardzam!«

Na te słowa zaiskrzyły się oczy hrabiny i już z sofy powstać zamyśliła; ale, stłumiwszy gniéw w sobie, rzekła z powolnością: »Panie de Sacy! ja go przestrzegam po raz ostatni. Namyśl się! mogłoby tu iść o życie twoje!«

»A czémże byłoby dla mnie życie zhańbione?« to wyrzekłszy, chciał się podnieść z taboretu i odejść. Ale hrabina, porwawszy się ze sofy, krzyknęła przeraźliwym głosem: »Niechże i tak będzie! stań się ofiarą przeznaczenia swego, nikczemny służalcze tyrana!« To mówiąc, pociągnęła silnie za sznur, płynący po ścianie, który się zdawał do potrącenia dzwónka być przeznaczonym, i którego koniec podczas rozmowy często w rękę brała. — W téjże chwili z strasznym łoskotem zachwiała się pod młodzieńcem posadzka; porwał się, chciał uskoczyć — ale, już za późno! Śród pisku spréżyn i skrzypu kół, potoczył się piorunem w przepaść, a śmiech szyderczy furii piekielnéj towarzyszył nieszczęśliwemu! — Podwoje zamknęły się z trzaskiem, a po gmachu rozległ się łuluch grobowy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

— Ze Lwowa. —

Z drukarni P. Pillera wyszło: Kazanie w czasie uroczystości wprowadzenia na arcybiskupstwo lwowskie obr. łac. JO. Mci Księcia Arcybiskup. Fr. ks. Luschina, Prym. Król. Galic. i Lodom., miane d. 9. listop. r. 1834, przez ks. Fr. Zachariasiewicza, kust. arcyb. lwow. i t. d. (1834).

Któż z Lwowianów nie zna przepysznych galonami obszywanych adamaszków, zdobiących w dni uroczyste tutejszy kościoł pojezuicki? Obicia te adamaszkowe są fundacyi Potockiéj, starościny wexlańskiéj, damy pełnéj cnót i pobożności, która żyła w pierwszéj połowie ośmnastego wieku. Zamówiła je w fabrykach lugduńskich we Francyi, a królowa francuzka Maryją Leszczyńska, małżonka Ludwika XV., dowiedziawszy się o tém, swoim kosztem złote galony do tych obić dorobić kazała. T.

Z Warszawy. Wyszedł tu w przekładzie polskim tom drugi romansu historycznego Tad. Bułgaryna, pod nazwą: Mazeppa. — Nakładem księgarni A. E. Glüksberga wyjdzie wkrótce romans, pod tytułem: Magdalena, tłumaczony z dzieł Pawła de Kock w 4ch tom.— Donosiliśmy już w zeszłym roku o dawaném tutaj oratoryjum Haydena: Stworzenie świata. W ciągu upłynionego miesiąca powtórzone zostało takowe w wielkiéj sali resursy kupieckiéj przez 80 miłośników i artystów muzycznych. Komitet resursy, wywdzięczając się amatorom i artystom płci obojéj za tak chętne i gorliwe przyłożenie się do zabawy towarzystwa, a przytém za wsparcie nieszczęśliwych, na których dochód to oratoryjum dawane było, zaprosił ich na wieczerzę. Byłato istotnie biesiada harmonijna. Spełniano za zdrowie zacnych przewodzców tegoż zgromadzenia, oraz dyrygującego muzyką Ign. Dobrzyńskiego, jakotéż Seweryna Turowskiego, który pracowicie przełożył słowa tegoż oratoryjum z języka niemieckiego na polski. W końcu Nestor śpiewaków polskich, Jan Szczurowski, wniósł toast na cześć Haydena.

Na początku r. 1833 miała cesarska biblijoteka w Petersburgu 263,647 dzieł drukowanych, a 14,632 rękopismów; w tym roku (1833) pomnożył ją cesarz rossyjski 7,728 dziełami Biblijoteki Puławskiéj, 13 skrzyniami najważniéjszych rękopismów z Biblijoteki byłego towarzystwa kr. przyjaciół nauk w Warszawie, tudzież 499 beczkami ksiąg, wziętych z Biblijoteki Warszawskiéj. Beczki te zamykały w sobie 150,000 ksiąg drukowanych w różnych językach. *(Czeska Wcela.)*

Z Wrocławia. U Wilhelma Bogum. Korna wyszedł w r. 1834: »Słownik polsko-rossyjsko-niemiecki, przez J. A. E. Szmidta, publicznego lektora języka rossyjskiego przy uniwersytecie lipskim.« Z téjże drukarni wyszedł tegoż: »Słownik krótki polsko-rossyjski,« w małém kieszonkowém wydaniu.

Po długim braku wiadomości z Brazylii o niezmordowanym podróżniku austryjackim Janie Natterer, nadeszły nareszcie przed kilką tygodniami listy jego, pisane z Pary, przy ujściu rzéki Amazonek. Zdaje się, że wiele dawniéjszych listów zaginąć musiało. Lat ostatnich użył na zbadanie prowincyj północnych Rio-negro, Pary, Guianny i jednéj części byłéj hiszpańskiéj prowincyi Venezueli. W tych rozległych, mało zaludnionych i jeszcze po największéj części odwiecznémi lasami okrytych okolicach, mianowicie koło Rio-negro i Rio-branco, odkrył i zebrał wiele nowego w przedmiotach historyczno-naturalnych i etnograficznych. Te zbiory swoje, wraz z wielu wzorami pięknych gatunków drzewa, przesłał w znacznéj ilości do Londynu w początkach października, na okręcie angielskim *Euphemia*. Tą posyłką, tak liczny już zbiór etnograficzny w Wiédniu, znacznie się pomnoży w broń i sprzęty rozmaitego rodzaju, a zwłaszcza 24 różnych plemion narodów. Zamieszania polityczne w tych prowincyjach, słabość dwukrotna podróżnika, równie jak brak dużego okrętu do przewiezienia wszystkich zbiorów i menażeryi, złożonéj ze 135 sztuk rzadkich zwiérząt, przeszkodziły panu Natterer wcześnie przybyć do Pary, by jeszcze za dobréj pory roku mógł powrócić do Europy. Postanowił zatém przezimować w Brazylii i, zwiedziwszy jeszcze wyspy Marajo i Caviana aż do Cabo-Norte, w marcu powróci do Europy. Z powrotem pana Natterer ukończy się ta wielka wyprawa, trwająca lat ośmnaście, a która pomnożyła nadzwyczajnie c. k. zbiory w Wiédniu.

Jeograf Balbi opisuje w sposób następujący archiwa Wenecyi: »Ani włoscy, ani zagraniczni autorowie, wy-

dający w ostatnich latach opisania Wenecyi (Benatki albo Mletki po sławiańsku), nie skreślili z taką obszérności archiwów miasta tego, jak na to te ogromne zbiory zasłużyły. Cesarz Jegomość austryjacki, który od lat wielu znaczne summy na odnowienie znakomitszych pomników miasta tego, na utrzymanie niezliczonych kanałów, na przedłużenie i naprawę grobli, znanéj pod nazwą *Murazzi*, wyłożył; nakazał wyliczyć 500,000 frank., ażeby wszystkie archiwa byłéj rzeczypospolitéj weneckiéj, jakoteż następujących po niéj rządów, w jednym połączyć gmachu. Najj. Pan spowodowanym został do tego rozporządzenia zamiarem ułatwienia nadzoru, jak i poszukiwań w tych ważnych dokumentach; chciał oraz przezto także wielki klasztor *Frati* i połączony z nim kościół zachować od grożącego upadku. Dwóch lat było potrzeba do wykonania tego zamiaru, i Wenecyja posiada teraz archiwum, zawierające najliczniéjsze, najkosztowniéjsze i najstarsze dokumenta w Europie. Widzieliśmy największe archiwa w Madrycie, Lizbonie, Paryżu i Wiedniu, zasięgaliśmy także pewnych wiadomości o archiwach w Rzymie, Londynie, Mnichowie, Dreźnie, Kopenhadze i innych miastach; atoli te wszystkie wiadomości do tego nas przekonania przywiodły; że żadne z miast tych, nie ma w jednym gmachu razem takiéj ilości dokumentów, ile ich zawiéra *Archivio Generale* w Wenecyi. Ten z podziwienia godnym porządkiem ułożony skarbiec zajmuje 298 sal, salonów i ganków, których ściany od dołu aż do góry półkami są pokryte. Ogromny gmach ten, nie mógł jednak zupełnie pomieścić 8,664,709 tomów czyli zeszytów, obejmujących dokumenta, zgromadzone z 1890 rozmaitych archiwów.«

Gazety niemieckie donoszą z Wrocławia zdarzenie następujące: »Podobnym sposobem, jak przed kilką laty, gdy pałac księżnéj d'Abrantes przez ogień w perzynę obróconym został; wszczął się tu także ogień, lecz, jak na szczęście, dosyć prędko postrzeżony, nie mógł rozszerzyć się daléj. W sypialnym pokoju pewnego urzędnika, mającym okna na południe, buchnął duży płomień, lecz postrzeżono go i wnet ugaszono. Więcéj czterech godzin nie był nikt w onym pokoju; nie było w nim pieca i nigdzie ani śladu jakiéj palnéj materyi. Gdy kilka osób szukało skrzętnie przyczyny tego zdarzenia, znowu w ich obecności powstał raptowny płomień z jednego stołu, i dopiéro wtedy przekonano się, że ogień wszczął się z promieni słońca, które, znalazłszy sobie w karafce, wodą napełnionéj, punkt palny, wywarło moc swoję. Doświadczano sprowadzać ten punkt palny na wiele miejsc tego znacznie już gorącem wysuszonego stołu; a gdzie tylko padł, zapalał zaraz. Karafka, napełniona wodą, skutkowała tak, jak soczewka, a stało się to już w późniéjszéj porze roku, kiedy słońce było daleko niżéj, jak zwykle. Jakże często podobny przypadek mógł podać ludzi w podejrzenie, którzy żadnego niedozoru winnymi się nie stali!« Dla przestrogi zwracamy na to zdarzenie uwagę czytelników naszych.

Dr. Adrian opowiada w rysach podróży swojéj co następuje: »Podczas gdy konzul Bonaparte r. 1800 na wiosnę wojsko swoje przez górę Ś. Bernharda do Włoch przeprowadzał, jenerał Bethencourt dostał rozkaz przejść w 1000 ludzi górę Simplon i zdobyć wąwozy Yeselli i Domo d'Osola. Ztoczone z góry bryły śniegów i skał ułamy, zerwały most, a przepaść 60 stóp széroka rozwarła się przed oczyma, którą przebyć nie było żadnego sposobu. Jeden śmiałek jednakże występuje z szeregów i oświadcza, że się odważy na przebycie téj przepaści. Związuje kilka długich lin, których jeden koniec przymocowawszy do stojącego jeszcze słupa z mostu, a drugim opasawszy się, spuszcza się w wydrążenia ściany pionowéj i skalistéj, w których leżały balki mostu. Stawiając nogę w rozpadliny pod sobą, a chwytając się rozpadlin wyżéj siebie, dostaje się skrwawionémi rękami na drugą stronę; tam uwiązuje linę do skały, i w ten sposób robi, w wysokości człowieka, poręcz nad przedziałami, które były między balkami. Jenerał Bethencourt odważył się piérwszy, za pomocą téj chwiejącéj się poręczy, tę dziurawą nad przepaścią wiszącą (skacząc z balka na balek) przebyć kładkę. Żołnierze, mimo broni i tornistrów, które mieli na sobie, jeden za drugim przebyli tymże sposobem przepaść. Batalijon ten miał pięć psów z sobą; tę widząc, że już ostatni żołnierz przechodzi, rzuciły się wszystkie razem za swojémi panami. Rwiący, z lodowców spadający strumień zachwyca w otchłań troje tych zwiérząt, i zapewne pozabijał je o skały; dwa silniejsze psy zmogły wydrapać się do góry i pokrwawione dostały się do nóg panów swoich. Na pamiątkę tego zdarzenia, wyryto na skale imię tego żołniérza, co piérwszy na ten niebezpieczny przechód się ośmielił, równie jak imiona oficérów batalijonu.

Miasto Saarlouis, niegdyś francuzkie, a teraz do Prus należące, którego ludność nie wynosi więcéj jak 5,000 dusz, dostarczyło wojsku francuzkiemu w ciągu wojny rewolucyjnéj 507 krzyżami legii honorowéj ozdobionych wojskowych, a między tymi 11 jenerałów, 10 pułkowników, 12 podpułkowników i t. d. Z tych najwięcéj znani są: Ney i Greiner.

Żyjący dotąd morscy bohatérowie Grecyi usunęli się z widowni świata i zaledwo widzieć ich można. Miaulis mieszka we włości swojéj koło Nauplii, a Canaris, ów grecki sir Sidnej Smid, śmiały podpalacz admiralskich okrętów tureckich, przebywa na wyspie Eginie; z pozoru wygląda jak prosty majtek, podobnież ubrany; jest małego wzrostu, ogorzały od słońca i rodem Ipsaryjota. Syn jego wychowuje się w zakładzie greckim w Mnichowie.

O teatrze w Lizbonie czytamy w jednym podróżopisarzu. »Poszedłem (mówi tenże) do teatru w *Ruo d'os condes*, lecz gra aktorów sprawiła mi więcéj odrazy i zgorszenia, niż rozrywki. Teatr jest nizki i szczupły, a co się tycze aktorów (bo aktorek nie było), ci nawet krytyki nie warci. Ponieważ kobiéty zostały wyrokiem przeszłego rządu oddalone ze sceny, zatém młode chłopcy zastępowały ich role. Można sobie wyobrazić to przyjemne wrażenie, jakie sprawia (a mianowicie w tańcu) barczysta, wybielona, jak ściana, pasterka, pociészne robiąca skoki i z bukietem kwiatów w ręku, które gniecie, jak gdyby Goliatha zdusić chciała; a za nią orszak takichże barczystych pasterek, nogami w górę tak wyrzucający, że aż suknie wyżéj głowy podlatują! Czegoś podobnego w życiu nie widziałem i zapewne więcéj nie obaczę.« *(Italy with Sketches of Spain and Portugal etc. by W. Beckford.)* Śmieszności te ustały już w teatrach lizbońskich.

Twierdza siedmiu wież w Konstantynopolu, nie dawno jeszcze postrach obcych posłów, których tam więziono, gdy wporta prowadziła wojnę z reprezentowanemi przez nich państwami, ma być teraz użytą na szpital dla ubogich Greków.

Sprawiedliwość turecka. Według opowiadania dr. Clarke zdarzyło się, że fregata w. sułtana rozbiła się przy brzegach wyspy Samos. Kapudan-pasza żądał od Greków wynagrodzenia, a dowodząc prawo żądania swego, mówił: »Gdyby wasza wyspa nie była na drodze, mój okręt nie byłby doznał rozbicia.« Biedni Grecy musieli ulédz argumentowi pana kapudana-paszy, i zapłacili.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.